



11 listopada

LISTOPAD historycznie...

„WSPOMNIENIA SYBIRACZKI” wywiad...

...z Teresą Miłosz o wywózce na Sybir i życiu
w czasach II Wojny Światowej.

Teresa Miłosz jest moją prababcją. Przeżyła śmierć swojego ojca w czasie mordów katyńskich, wywóz na Sybir z rodziną – mamą, młodszym bratem i starszą siostrą, życie w Kazachstanie i powrót z zesłania na Pomorze Zachodnie.

Opowie nam teraz o swoich przeżyciach i wspomnieniach.

- Dzień dobry, babciu, chciałbym przeprowadzić z Tobą wywiad o Twoich przeżyciach podczas wojny. Ile miałaś lat, gdy zaczęła się wojna i co się w związku z tym działo w Twojej rodzinnej miejscowości?

- Miałam 9 lat, gdy 1 września 1939 roku wybuchła wojna. Najpierw Niemcy zaczęli bombardować Tarnopol, gdzie mieszkaliśmy. Później do miasta wkroczyli Rosjanie, którzy ogłosili, że do miasta wchodzi pokojowo, żeby nikt nie strzelał i w oknach były wywieszane białe chorągiewki. Po wkroczeniu armii do Tarnopola w mieście zapanował spokój, otworzono szkoły, w których pomalutku wprowadzano język rosyjski i do domów ludności cywilnej zakwaterowywano oficerów rosyjskich. Do nas też zgłosił się jeden i mama dała mu osobny pokój. Za naszą zgodą po pewnym czasie sprowadził do nas swoją żonę i dziecko. Był dobrym człowiekiem i załatwił nam darmowe obiady z koszar rosyjskich. Codziennie ja lub moje rodzeństwo biegaliśmy z menażkami do koszar i mieliśmy obiad.



- Czy wtedy panował już głód?

- Tak, sklepy były już puste i o jakiegokolwiek towary było bardzo trudno.

- A co w tym czasie działo się z Twoim ojcem?

- Wraz z wybuchem wojny wszyscy żołnierze i oficerowie, w tym mój tata, który był plutonowym konnej artylerii, wyjechali konno i na furmankach na front. Tam walczyli do momentu sojuszu Rosji z Niemcami, gdy rozwiązano armię polską i kazano im wracać do domów. Tata kazał swoim żołnierzom zabrać konie i ruszyć do domów, a sam na furmance zaprzężonej w cztery konie, z dwoma żołnierzami, którzy nie chcieli opuścić swojego dowódcy oraz przyjacielem Kretem (który później uciekł za granicę) ruszyli do Tarnopola. Po drodze zatrzymały ich dwa patrole rosyjskie i jeden ukraiński. Rosjanie, gdy usłyszeli, że tata ma dzieci, dali mu po 5 kopiejek dla nich. Były one bardzo błyszczące, i gdy widzę dziś nowe pięciogroszówki, to zatrzymuję je jako wspomnienie tamtych. Ukraińcy nie byli tak przyjaźni i chcieli tatę zatrzymać, ale dzięki dzielnej postawie żołnierzy szczęśliwie wrócił do domu. W tym czasie mama przyjęła do domu dwóch młodych uczniów, którzy uciekli z bombardowanej Warszawy. Mama bardzo rozpaczala za tatą i nie sądziła, że on wróci. Pewnej nocy cała nasza menażeria – bocian, wiewiórki, papugi i psy, które tata przywoził ze swoich wyjazdów, zaczęła robić wielki hałas. Okazało się, że wrócił tata, był to koniec listopada 39 roku. Wszyscy byliśmy wtedy szczęśliwi, choć nie trwało to długo.

- Co się wtedy wydarzyło?

- Tata przebywał kilka dni w domu i na początku grudnia Ukraińcy, którzy mieszkali obok, donieśli na niego i w nocy przyszło NKWD. Kazało mu się ubierać i zabrali go. Tata siedział w więzieniu. Raz w tygodniu mama mogła chodzić w odwiedzin i nosić mu paczki z jedzeniem i bielizną. Po jakimś czasie dowiedziała się, że jej męża już gdzieś wywieziono.

- Kiedy wywieźli Was na Sybir?

- Było to 13 kwietnia 1940 roku. Dzięki oficerowi rosyjskiemu, który u nas mieszkał wiedzieliśmy już wcześniej, że jesteśmy na liście do wywózki. Chciał nam pomóc, uciec do rodziny, pod inny adres, ale mama się nie zgadzała. Przyszli po nas w nocy- trzech panów i jedna pani z NKWD, kazali się pakować. Na osobę mogliśmy wziąć określoną ilość bagażu. Rosjanie pomagali nam wybierać rzeczy, wskazywali, co jest potrzebne. Kazali zabrać dwie pierzyny, cztery poduszki, buty oficerskie taty, złoto, jedzenie i ciepłe ubrania. Ukraińiec, który wydał mojego tatę, też tam się zjawił i chciał nam zabrać złoto, mówił, że jest niepotrzebne, a my dzięki temu złotu przeżyliśmy. Nawet NKWD-owcy widzieli pazerność Ukraińca i go wygonili. Jednocześnie mydlili nam oczy, że jedziemy do tatusia, który czeka na nas w Moskwie, czytając gazety. Zawieźli nas samochodem na stację kolejową.



11 listopada

- W jakich warunkach jechaliście, jak długo to trwało?
- Pociąg, który nadjechał na stację, miał tylko wagony towarowe, takie, jakimi wożono zwierzęta. Zjawiliśmy się tam pierwsi, były tam półki, które można było zajmować. Zajęliśmy parter i środek. Przybywało coraz więcej ludzi, ale każdy miał swoje miejsce do spania, nikt nie musiał stać i tłoczyć się, jak to było w transportach niemieckich. Ubikacja była dziurą w podłodze koło drzwi, zastłoniliśmy ją zastłonką, aby mieć trochę prywatności. Było dużo ludzi starszych, dzieci, nawet nowonarodzone niemowlę, które matka karmiła łyzeczką podgrzewaną na świeczce. Nie pozwolono otwierać okien, ale dzieci zbierały się na górnej półce, by wyglądać na zewnątrz i bawić się.

- Dawano Wam jeść i pić?

- Tak. W nocy pociąg zatrzymywał się na dużych stacjach, kazano wyznaczać dyżurnych wychodzących na zewnątrz z wiaderkami, do których nalewano kipitok, zupa szczy. Była to zupa ogórkowa lub kapuśniak, gdzie ogórek ogórka gonił, a kartofel kartofla. Była to prawie sama woda. Na szczęście mamusia zawsze suszyła chleb i całe te zapasy zabraliśmy ze sobą.

- Czy mocno Was pilnowali?

- Każdego wagonu pilnował jeden żołnierz. Nasz był bardzo miły, dawał nam dużo swobody, pozwalał grać i śpiewać polskie piosenki, nawet nie zamykał drzwi do końca, bo chciał ich słuchać. Nikt nie zginął podczas naszej drogi na Sybir, tylko jeden Żyd uciekł, ale nie wiem, czy mu się udało.

- Co było dalej?

- Dojechaliśmy do celu podróży, a tu las i pole, kazali wysiadać, powiedzieli, że zaraz będą samochody. Przyjechały ciężarówki z pakami, a my się na nie zapakowaliśmy. Były tam ławki. Ruszyliśmy. Wszędzie las, każdego samochodu pilnował uzbrojony żołnierz. Wydawało mi się, że w lesie leży mnóstwo martwych psów, a to okazały się wilki. Wjechaliśmy na górkę i naszym oczom ukazała się woda tak wielka, tak że nie było widać drugiego brzegu. Okazało się, że to rzeka Irtysz. Samochody dojechały do samego brzegu i tam czekaliśmy na prom - parochot. Gdy przypłynął, ułożono belki i samochody wjechały na niego. Baliśmy się, bo za każdym razem, gdy samochód wjeżdżał na prom, cały pokład zalewała woda. Przepłynęliśmy na drugi brzeg, podjechaliśmy pod parterowy budynek, okazało się, że to była szkoła, zamknięta na czas naszego przejazdu. Tam się zatrzymaliśmy, dostaliśmy jeść, ale jeszcze tego samego dnia przyjechały po nas wozy zaprzężone w byki lub wielbłądy, a każdym wozem powoził Kazach, nie było już żołnierzy. Każdy miał miejsce, nic nie trzeba było nosić. Ruszyliśmy przez step, wielką płaską powierzchnię, na której nie widzieliśmy nic poza trawą. Wozy toczyły się bardzo wolno, aż mój brat zaczął się niecierpliwić i poganiać wielbłąda. Kazach zwrócił mu uwagę, żeby tak nie robił, bo wielbłąd tego nie lubi, obróci się i nas opluje.

- Długo jechaliście?

- Nie, jeszcze tego samego dnia dojechaliśmy na miejsce. Były już tam przygotowane ziemianki, kuchnia murowana, wybudowana na początku, środku i końcu, a pomiędzy nimi miejsca do spania, czyli słoma położona na ziemi. Ziemianka to była jedna wielka przestronność z drzwiami na obu końcach i każdy zajął jej kawałek. Okna umieszczono bardzo wysoko. W okolicy kręciło się bardzo wielu Kazachów z rodzinami, chodzili w wielkich czapach i wysokich butach. Był tam też starszy człowiek, który miał 104 lata, wielką siwą brodę i był Polakiem. On tłumaczył nasze rozmowy z Kazachami - bardzo gościnnymi, przynosili nam jedzenie, mleko. Tak zaczęło się nasze życie na Syberii. Musieliśmy się sami utrzymać, nic już nie dostawaliśmy. Mama, żeby kupić jedzenie, wymieniała różne przedmioty i złoto. My, dzieci, robiłyśmy, co chciałyśmy. Biegaliśmy, bawiliśmy się nad rzeką, łowiliśmy ryby i zbieraliśmy odchody zwierząt - kiziaki, którymi paliło się w piecu.

- Jak przetrwaliście zimą?

- Zima była straszna. Wiały straszne wiatry i przebywanie na zewnątrz groziło śmiercią. Naszą ziemiankę zasypało, ale na szczęście Kazachowie mieli mapki z położeniem drzwi i nas odkopali. Później przenieśli nas do baraku, choć go też często zasypywało.



POEZJA

Oblicze ojczyzny

Ojczyzna to kraj dzieciństwa
Miejsce urodzenia
To jest ta mała najbliższa
Ojczyzna

Miasto miasteczko wieś
Ulica dom podwórko

Pierwsza miłość
Las na horyzoncie
Groby

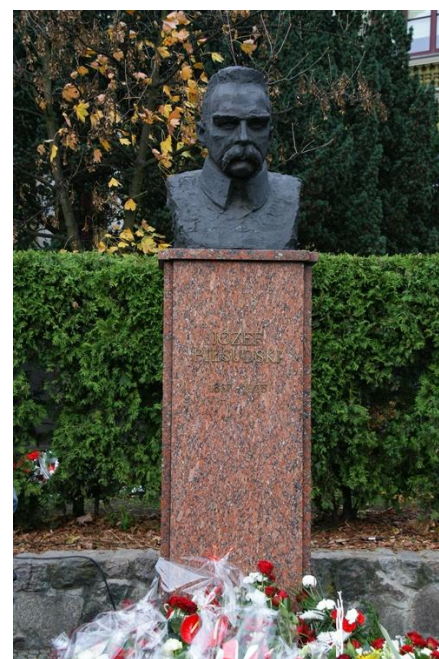
W dzieciństwie poznaje się
Kwiaty ziola zboża
Zwierzęta
Pola łąki
Słowa owoce

Ojczyzna się śmieje

Na początku ojczyzna
Jest blisko
Na wyciągnięcie ręki

Dopiero później rośnie
Krwawi

Tadeusz Różewicz



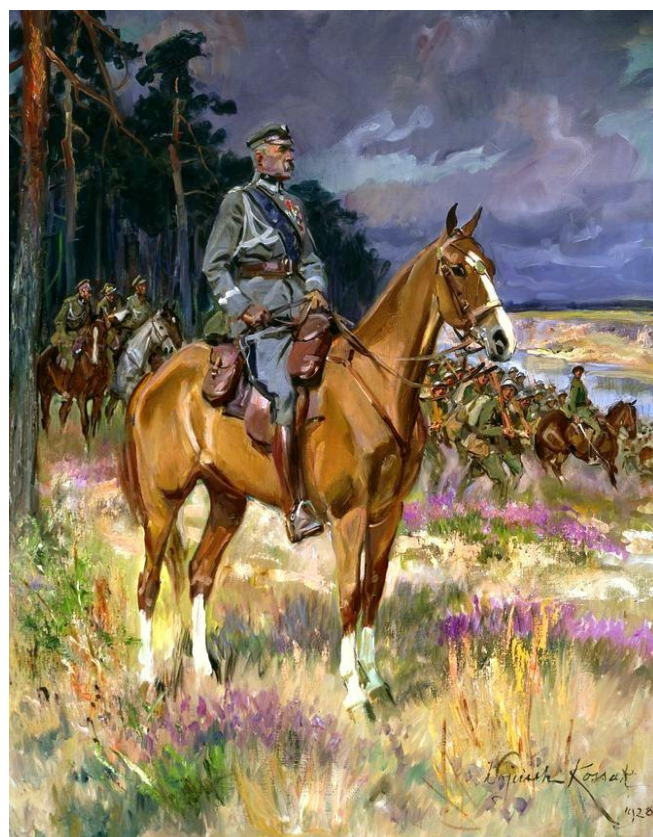
Pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego



11 listopada

- Gdzie pracowała Twoja mama?
- W Sołchozie, to było takie jakby gospodarstwo. Wiosną pracowała przy zbieraniu siana, później w oborze przy dojeniu krów. W tej oborze po mechanicznym wydojeniu krów mleko zanosilo się do innego budynku, gdzie była specjalna maszyna, która oddzielała tłustą śmietanę od mleka, które robiło się sine jak denaturat. To mleko my dostawaliśmy, bo Kazachowie mieli własne krowy. Mleko nam nie smakowało, dlatego z mamą chodziliśmy od jurty do jurty i wymienialiśmy złoto, ubrania na jedzenie. Byli oni bardzo gościnni i często zapraszali nas do stołu, który był bardzo niski i siedziało się na poduszkach. Pokazali nam też miasto, znajdujące się niedaleko – Pawłodar i organizowali wyjazdy do niego na targ. Pawłodar to duże miasto z blokami. Pamiętam, że było w nim bardzo dużo piasku.
- Jak znaleźliście się na Uralu?
- Mieszkaliśmy już jakiś czas w Kazachstanie, ale nie pamiętam, jak długo, gdy zaczęto budować drogę kolejową od nas na Ural. Mamusia dowiedziała się, że można znaleźć pracę przy budowie kolei i poszła sama 50 kilometrów przez step, aby dostać pracę. Nas zostawiła w baraku pod opieką innych kobiet. Mamusia zaczęła pracować, nosiła ziemię i szyny z innymi kobietami. Do nas przychodziła dwa, trzy razy w tygodniu, przynosząc nam jedzenie, bo dostawała już kartki na prowiant. Przychodziła w nocy, ale na rano musiała być już w pracy. Robotnicy kolejowi mieszkali w namiotach przy torach i przenosili się wzdłuż nich w miarę postępu prac. Później przenieśliśmy się do niej i mieszkaliśmy w namiotach gdzieś około roku. Przesuwaliśmy się w stronę Uralu, aż dotarliśmy do Czelabińska. Tu już mieszkaliśmy w wagonach, które stopniowo przesuwano po torach. Następnie dojechaliśmy do Kopiejska i mieszkaliśmy tam w normalnych domach. Mieliśmy pokój z kuchnią i dzieliliśmy go innymi trzema rodzinami. Później mama przestała pracować przy budowie kolei, a zaczęła w szpitalu. Tutaj też zaopiekowała się dwójką osieroconych dzieci znajomych, które wróciły z nami do Polski.
- Byłaś też tam w domu dziecka, jak do tego doszło?
- W Czelabińsku była polska ambasada i Rosjanie zaproponowali Polakom utworzenie domu dziecka dla polskich sierot. Dali piękny budynek w Uwielce – dużej wiosce z kościołem i murowanymi budynkami. Kościół – dawną cerkiew- zamknięto, gdyż Stalin kazał zlikwidować kościoły i zamienić je na magazyny sprzętów rolniczych. Zaczęto zbierać dzieci. Dyrektor był Polakiem. Ja i mój młodszy brat też tu trafiliśmy, gdyż była tu szkoła i mogliśmy znów zacząć się uczyć. Starsza siostra została z mamą i razem pracowały. Nigdy nas nie odwiedzały, bo było to dość daleko, ale pisaliśmy do siebie listy. Dom dziecka wspominać bardzo dobrze. Dawali nam dużo jeść, a że byłam bardzo wychudzona, to opiekunki stale mnie podkarmiały. Jeździliśmy na wycieczki i obozy, braliśmy udział w występach i spektaklach międzyszkolnych. Rano - szkoła rosyjska, a po południu - polska. Szkoła posiadała swoje gospodarstwo, miała owce, krowy i konie, a dzieci w ramach dyżurów tam pomagały. W domu dziecka spędziłam około trzech lat.

- Jak wyglądał Twój powrót do Polski?
- 9 maja 1945 skończyła się wojna i dyrektor naszego domu dziecka pojechał prosić o pozwolenie na wyjazd dzieci z rodzinami do Polski. Powiedzieli mu, że musi czekać. Pozwolenie dostał dopiero jesienią. Ruszyliśmy przed zimą, połączyli nas z rodzinami, chociaż dzieci z domu dziecka musiały jechać w osobnych wagonach sypialnych. Rodziny jechały w wagonach towarowych. W Opolu połączono nas z rodzinami i tu pozostały już dzieci, które straciły swoich bliskich. Mama postanowiła, że pojedziemy dalej i 16 kwietnia 1946 dotarliśmy do Szczecina. Tutaj zajęliśmy mieszkanie i zaczęliśmy nowe życie. Na Syberii spędziłam 6 lat.
- Czy wiesz, co stało się z Twoim ojcem?
- O losach mojego ojca dowiedziałam się w latach 90. w wolnej Polsce, gdy pojawiły się przypuszczenia o mordach polskich oficerów w lasach katyńskich i okolicach. Dopiero dwa lata temu po ujawnieniu list ukraińskich, dowiedziałam się, że mój tata został rozstrzelany w Bykowni parę dni po zabraniu z więzienia w Tarnopolu.
- Dziękuję za udzielenie mi wywiadu, ukazał mi on nowy obraz wywózki ludzi na Syberię.
Do zobaczenia.
- Do zobaczenia.

rozmawiał **Kacper Grabowski**

**Obraz Marszałek Józef Piłsudski na Kasztance
Wojciecha Kossaka**

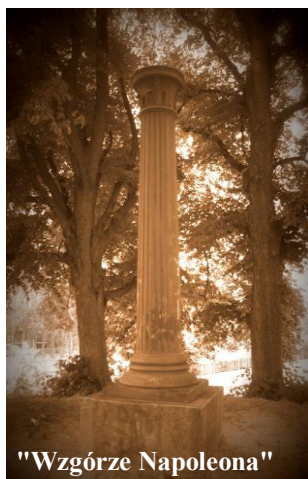


11 listopada

Tajemnice z SZCZECIN



Pomnik Męczenników II Wojny Światowej



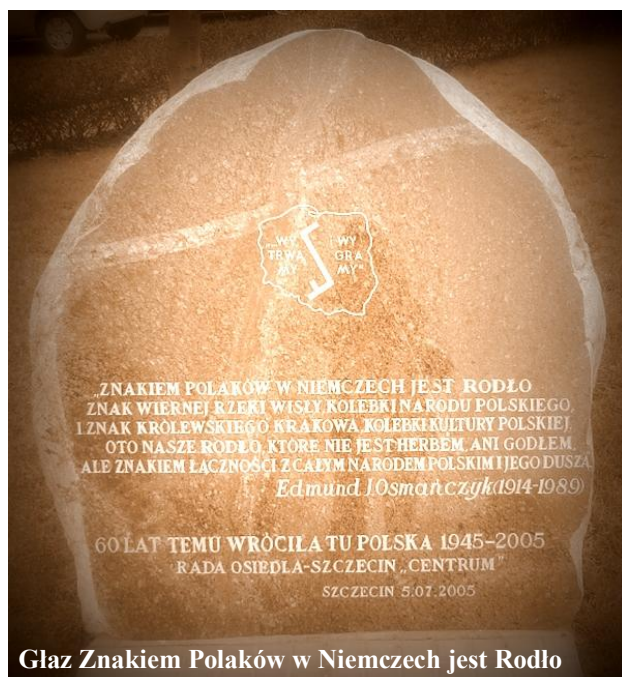
"Wzgórze Napoleona"



Pomnik "Dzieciom Potulic"



Tablica Szare Szeregi AK



Głaz Znakiem Polaków w Niemczech jest Rodło



Tablica Generała Stanisława Sosabowskiego

redakcyjna

nieZdziś

niecodzienna gazetka szkolna

ZSO 7 w Szczecinie ul. Unisławy 26, 71-413, Szczecin

Redakcja: Kacper Grabowski,
Mila Kreft-Sietnicka, Natalia Nitras

Kontakt z redakcją: www.13lo.szczecin.pl

Opieka: nauczyciele ZSO nr 7